



Mirosław Derecki (M.D.)

## EKRAN I WIDZ: ŻANDARM IDZIE DO NIEBA

Kilka lat temu oglądałem we francuskim tygodniku ilustrowanym duży fotoreportaż, który można by zatytułować: „Żandarm na wsi”. Jeden z najwybitniejszych francuskich komików filmowych, bohater tylu zwariowanych komedii o żandarmie-oryginale z Saint-Tropez, niezastąpiony Louis de Funès, pokazany był w życiu prywatnym - na spacerze, wśród koni, na traktorze we własnej farmie gdzieś w ciszy francuskiej prowincji. Niedawno wyszedł ze szpitala po ciężkim ataku serca i chciał raz nareszcie dobrze odpocząć, odgrodzić się od tego szalonego świata, który przez tyle lat kreował, aby oderwać widzów, przynajmniej na dwie godziny, na czas kinowego seansu, od smutku codziennej egzystencji. Za kierownicą potężnego traktora, drobny, czarniawy, z tym swoim wydatnym, śmiesznym nosem, z nerwową twarzą w której błyszczały inteligentne sprytnie oczy, ubrany w grubą wełnianą kurtę i brązowe sztruksowe spodnie, wyglądał jak uosobienie przeciętnego, prowincjonalnego Francuza...

Ta właśnie „przeciętność”, ta „typowość” - oczywiście przetworzona artystycznie, wymodelowana na sposób komediowy, wyostrzona do granic inteligentnej satyry - była głównym atutem sukcesów filmowych Louisa de Funès. Więcej: de Funès potrafił w tworzonych przez siebie postaciach połączyć ów satyryczny obraz przeciętnego Francuza - miły oczom współrodaków - z wyobrażeniem „typowego” Francuza, jakie ukształtowało się przez wieki w innych krajach. Właśnie dlatego każde kolejne wcielenie de Funèsa trafiało do przekonania widowni na całym świecie. Pamiętacie tę nerwowość, te nagłe ataki zabawnej furii, kiedy walił wszystkich naokoło po głowach, gdy w niemal dziecinny sposób przedrzeźniał z pasją swych interlokutorów, ten śmieszny, szybki, lekko posuwisty krok? Jego bohaterowie byli inteligentni, przebiegli, precyzyjnie myślący, tylko że... wciąż się im coś nie udawało. Wpadali bezustannie w niezwykle tarapaty z których zresztą ostatecznie jakoś wydobywali się z szelmowskim uśmiechem na ustach.

Nie należał do komików „intelektualnych” jak Jacques Tati czy Pierre Etaix, nie sięgał do nuty liryzmu na wzór Fernandela, a jego żywiołowość była całkiem inna, bardziej zgrzebna od tej, jaką reprezentował Jean Pierre Cassel. Nie chciał też potraćać „głębokich strun” ludzkiej duszy tak jak to czynił nieraz Bourvil. Lubił grubą kreskę, wyraźny kontrast.

Właśnie na zasadzie kontrastu - w bardzo różny sposób stosowanego - opierały się wszystkie jego słynne filmy, te, które zdobyły masową widownię. W „Gamoniu” - gdzie występował razem z Bourvilem wyznaczył sobie rolę impetycznego szefa gangu rywalizującego z naiwniakiem-turystą, który przy całej śmieszności okazuje się przecież prawdziwym mężczyzną. Jako historyczny i niezbyt mądry komisarz Juve próbował współzawodniczyć z niepokonanym, nadludzkim Fantomasem, którego kreował ulubieniec wszystkich pensjonarek świata – Jean Marais. Gdy w „Manii wielkości” wcielił się w postać granda hiszpańskiego, to zaraz za przeciwnika miał Ivesa Montanda. W serii filmów o przygodach i perypetiach „Żandarma” de Funès miał zwykle u boku atrakcyjną kobietę – najczęściej swoją filmową córkę – której asystował równie atrakcyjny amant. Zabawny i staromodny w poglądach. „Żandarm” strzegł porządku w słynnym Saint-Tropez, gdzie nie wiadomo już co bardziej podziwiać: zmasowane piękno przyrody czy masy rozebranych wczasowiczek...

Na sukces pracował de Funès przez wiele lat. Mimo że zagrał w ponad stu dwudziestu filmach, gwiazdorem stał się dopiero po pięćdziesiątce. Uważano go za mistrzowską postać drugoplanową właśnie owego „typowego Francuza”, który potrzebny był prawie każdemu reżyserowi do „podrysowania tła” głównego wątku fabularnego. Już we wczesnych latach powojennych oglądaliśmy de Funèsa w „Niebo czy piekło”, w „Antonim i Antoninie”, „Taksówce nr 886”, „Poznanych nocą”. Występował u boku Pierre’a Lamoureux w filmach o typowej francuskiej rodzinie – „Tata, mama, gosposia i ja” oraz „Tata, mama, moja żona i ja” w „Półgłówku”, „Czarnym rynku w Paryżu”, „Krażowniku szos” itd., itd. Naprawdę jednak szczęście uśmiechnęło się doń w 1963 r., gdy zagrał dużą rolę w „Pouic-Pouic” i wtedy właśnie rozpoczęło się pasmo jego niesamowitych filmowych przygód z Fantomasem i gangsterami i złodziejaskami, z młodymi pięknymi paniami, z niemieckim Gestapo i z... grupa ofermowatych rodzimych Żandarmów, którym przewodził jako szef posterunku w nadmorskim miasteczku. „Żandarm się żeni”, „Żandarm na emeryturze”, „Żandarm w Nowym Jorku”... Tych filmów nasyconych słońcem, radością życia niezwykle dynamicznych, pełnych bezustannych zwariowanych pogoni i slapstickowych sytuacji, filmów kończących się nieodmiennie happy-endem nie zapomnimy nigdy. Pozostaną dla nas jak uśmiech młodzieńczych wakacji, jak beztroska przygoda, jak seans magiczny. Bo jeżeli istotnie kino jest magią - jak twierdzą krytycy - to Louis da Funès odwoływał się do tego wszystkiego, co stała u podstaw ludzkiej fascynacji „latarnią czarnoksiężką”: do światła, ruchu i śmiechu. Tak jak to robił na początku Mack Sennet wraz ze swoją gromadą zwariowanych policjantów. Postawienie w filmach z de Funèsem właśnie na ludyczność - tak jak to miało miejsce u początków kina amerykańskiego - to jeszcze jedno wytłumaczenie sukcesów opowieści o komisarzu Juve „Żandarmie”, „Hibernatusie”, „Oskarze”...

Po kilkuletnim odpoczynku Louis de Funès powrócił na plan filmowy. Zobaczyliśmy go jeszcze w „Skrzydełku czy nóżce”, w „Żandarmie w Nowym Jorku”... Ale serca nie można eksploatować w nieskończoność. Niedawno szalony „Żandarm” wybrał się w swoją ostatnią podróż. Tam, gdzie już wcześniej odeszli Fernandel i Bourvill... Co za szkoda, że już go nie ma wśród nas.

Pierwodruk: „Kamena”, 1983, nr 6, s. 4.